

BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Socjologicznych PANI

P. II. 376

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Cena 25 groszy.

GŁOS

P R A W D Y

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy“ Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 31 MAJA 1924. Nr 38.

Bez demagogji.

„Jest to prawo nie tylko każdego członka parlamentu, ale każdego pisma w tym kraju, z każdej trybuny, jeśli szczerze wierzy, że jeden z członków rządu jest niekompetentny, albo nieodpowiednio wypełnia swe funkcje, starać się o usunięcie go, nawet gdyby to miało zachwiać zaufanie do rządu“.

(Bonar Law, 1915)

Niewiadomo jakie wnioski wysnuje z dyskusji w Komisji Spraw Zagranicznych p. Zamoyski. Przyjaciele jego opowiadają wszystkim, którzy wysłuchać ich sobie życzą, że ustąpi lada dzień, byle nie dziś, jako że nie chce poddawać się „naporowi“ lewicy.

Wytworzyła się zaiste bardzo dziwna sytuacja.

Przedstawiciele lewicy przez usta wszystkich swych mówców oświadczyli wyraźnie i niedwuznacznie, że do p. Zamoyskiego, jako ministra spraw zagranicznych, *zaufania nie mają*, a przedstawiciel prawicy kategoriycznie stwierdził, że *prawica nie ponosi odpowiedzialności za politykę p. Zamoyskiego*. Więc, jak się to dzieje, że p. Zamoyski dotychczas jeszcze jest kierownikiem tej, obok skarbu i wojska, najważniejszej dziedziny życia państwowego? Któż jest w Polsce na tyle odważny, by za nieudolną politykę p. Zamoyskiego ponosić odpowiedzialność?

Lewica polska nie potrzebuje lekcji patriotyzmu od nikogo. A jeśli żąda dziś ustąpienia p. Zamoyskiego, to nie dlatego, że

we Francji zwyciężyło takie czy inne stronnictwo. nie dlatego, że upadł Poincaré, a do władzy dojdzie Herriot, jeno dlatego, że obecny minister spraw zagranicznych jest na swem stanowisku nieodpowiedni, że swemu zadaniu sprostać nie jest w stanie, że nie ma żadnej inicjatywy, żadnego wycucia rytmu życia politycznego Zachodu, że nie ma żadnej wytycznej myśli politycznej, że nie ma w sobie nic z męża stanu, mogącego kierować polityką zagraniczną państwa.

Niech tedy nie krzyczy prawica o uzależnianiu naszej polityki od Francji. Nie przystoi mówić o tem ludziom, którzy od zarania bytu niepodległego Rzeczypospolitej tylko na pasku Francji iść chcieli; nie przystoi mówić o tem ludziom, którzy zwalczali różnych ludzi pod fałszywym pretekstem, że się Francji mogą nie podobać; nie przystoi o tem mówić ludziom, którzy w swej wierności, czy wiernopoddaństwie Francji szli tak daleko, że jak sami Francuzi o tem mówili, trudno się było doszukać granicy między lojalnością i upokorzeniem.

Jest to najzwyczajsza demagogja, od której wolna musi być nasza polityka zagraniczna.

Demagogję uprawiać można „w otwarte karty“, budując Polskę w *Gazecie Warszawskiej*, demagogję uprawiać można dowodząc, że świat idzie na prawo w *Kurjerze Warszawskim*, demagogję uprawiać można dla „uproszczenia“ dyskusji i przegladając prasę w *Rzeczpospolitej*, ale *nie wolno* jej uprawiać wtedy, gdy idzie o najbardziej żywotne interesy Państwa, gdy idzie o jego przyszłość, gdy idzie o politykę zagraniczną.

I dlatego powtarzamy: nie może być ministrem spraw zagranicznych człowiek, do którego lewica nie ma zaufania, a za którego prawica nie chce ponosić odpowiedzialności.

Pod naporem, lub bez — pan Zamoyski musi ustąpić.

Z.

Główne niebezpieczeństwo dla pokoju.

(Mowa b. ambasadora austrijackiego dr. Dumba wygłoszona w „Austriackiem Towarzystwie Politycznym“ — według *Neue Lodzer Zeitung*).

„Dziś największe niebezpieczeństwo zagraża ze strony Rosji. Jest ono coprawda mniejsze niż przed dwoma laty, Rosja potrzebuje bowiem dłuższego wytchnienia dla odbudowy. Pozatem niezbędne jej są kredyty zagraniczne; przedwstępny zaś warunkiem otrzymania ich, jest pokojowa polityka i unikanie konfliktów międzynarodowych. Ciężkim błędem byłoby jednak niezdawanie sobie sprawy z istnienia niebezpieczeństwa rosyjskiego. Naturalna bowiem ekspansja Rosji dąży do morza. Niebezpie-

czeństwo to jednak stałoby się aktualnem dopiero przy połączeniu Rosji z Niemcami. Możliwości tej nie należy wykluczać". Analizując następnie rozdrażnienie stosunków francusko-niemieckich p. Dumba konkluduje: „o ile nie dojdzie do porozumienia i usunięcia nienawiści i nieufności — b. prawdopodobne staje się połączenie rosyjsko-niemieckie, a co zatem idzie nowy pożar świata“.

Zapowiedź zwrotu w stosunkach francusko - rosyjskich.

Inicjatywa, oświadczenia i posunięcia prywatne polityków francuskiego kartelu lewicy, sprzedają i sygnalizują punkty wytyczne programu jego przyszłego rządu. Jednym z najdonioślejszych posunięć, obchodzących bezpośrednio i b. żywo Polskę, jest zawiązanie w ubiegłym tygodniu towarzystwa przyjaźni polsko-francuskiej (*Societe des amities franco-russe*), którego założycielami są: senatorowie De Monzie, Debierre, Renoult; posłowie Herriot, Painlevé, Godard, Daladier, Moutet, Violette, Debouin-Accambray i Boncourt; profesorowie College de France: Gide, Renard, Glay, Pieron, Berthelot; profesorowie Sorbony: Georges, Scelle, Aulard i Hauser.

Jak doniosły telegramy, „celem towarzystwa jest uznanie Rosji sowieckiej przez rząd francuski, wskrzeszenie dawnej przyjaźni i dawnych stosunków francusko-rosyjskich, *studja nad nową Rosją i propagandla wiadomości o Rosji we wszystkich warstwach społeczeństwa francuskiego*, opracowanie warunków zbliżenia ekonomicznego i politycznego między Francją a Rosją, organizowanie wycieczek do Rosji, wydawanie dzienników, broszur; urządzanie odczytów i nauka języka rosyjskiego“.

A więc wbrew pocieszeniom przyjaciół p. Zamoyskiego, że Herriot będzie kontynuował politykę zagraniczną Poincaré'go—zmiany zasadnicze.

Nowa Francja a Niemcy.

(Herriot do korespondenta *Timesa*).

„...Partje lewicowe (francuskie—*P. R.*) domagać się będą gwarancji od Niemiec. Nasza dobra wola zależeć będzie od dowodów dobrej woli Rzeszy. Partje lewicowe nie chcą być wyprowadzane w pole. Domagać się będziemy gwarancji międzynarodowych przedkładając je nad jednostronne sankcje“.

(Herriot do korespondenta *Vorwärts*).

„Rząd niemiecki może być tego pewnym, że dyskusja ze mną będzie bardzo łatwa. Wymagam od strony przeciwnej przede wszystkim dobrej wiary i dlatego muszę wiedzieć, czy mogę na nią liczyć. Wobec republikańskich stronnictw Niemiec nie mam pod tym względem żadnych uprzedzeń, ale nie mógłbym tego powiedzieć o jawnych i tajnych nacjonalistach. Uważam za całkiem naturalne, że ktoś stara się bronić interesów swego kraju. Sam będę to czynił i liczę się z tem, że tak samo będą postępowali niemieccy politycy. Nie miałbym zaufania do mężów stanu, którzyby nie występowali w obronie interesów swego kraju. Oczywiście wytworzą się różnice zapatrywań, ale nie będą przecież nie do usunięcia. Do tego potrzeba dobrej woli, wiary i szcze-

rości... Pragnieniem moim jest przywrócić narodowi pokój. Uważałbym za największy zaszczyt mego życia, gdyby udało mi się to wykonać. Oczywiście cel ten utrudnia sztuczny nacjonalizm. Ofenzywa przeciwko frankowi nie była przypadkową. Nie mniejsze troski sprawia mi rozwój stosunków w Niemczech. Wszystko zależy od tego, jaki się tam utworzy rząd. Dzieło porozumienia uda się mimo wszystko, jeśli demokraci obu państw będą się wzajemnie popierać“.

Kto odpowiada za katastrofy lotnicze?

Statystyka naszych katastrof lotniczych jest przerażająca. Podczas gdy na całym świecie lotnictwo należy już dzisiaj do omal całkowicie opanowanego i bezpiecznego rodzaju służby wojskowej, gdy rzadkie wypadki są przeważnie wynikiem ekwilibrystyki uprawianej przez ambitnych i żądnych poklasku pilotów, u nas, katastrofy mają miejsce w okolicznościach dalekich od specjalnego hazardu życiem ze strony lotnika. I gdybyż przynajmniej miały miejsce coraz rzadziej. Nic podobnego. Z porównania danych statystycznych za ubiegły i bieżący rok wynika oczywiście, że ilość nieszczęśliwych wypadków zakończonych śmiercią pilota—ku przerażeniu społeczeństwa—wzrasta.

Dlaczegoż tak się dzieje?

Kto jest za to odpowiedzialny?

Niech nam wolno będzie przypomnieć, jak społeczeństwo francuskie reagowało na katastrofę balonu sterowego „Dixmunde“. Atak skierowany z tego powodu w parlamencie i prasie na ministra komunikacji omal nie pozbawił go stanowiska. Minister musiał bardzo rzeczowo i wyczerpująco przedstawiać środki zapobiegawcze, jakie przedsięwziął przed podróżą statku, by usunąć prawdopodobieństwo katastrofy. A przecież minister ten naprawdę w dziedzinie technicznej kontroli aparatów oddawanych przez fabryki do użytku publicznego nie zaniedbał niczego, co leżało w mocy ludzkiej. A u nas? U nas wezwany przed komisję sejmową szef departamentu lotnictwa żartuje sobie najwyraźniej z powagi ludzkiego życia i posłów, słuchających jego wyjaśnień. Mamy wielki sentyment dla ppłk. Rajskiego, jako dzielnego i uzdolnionego lotnika, ale przecież nie możemy przejść do porządku dziennego nad użytym przez niego argumentem, że lotnicy giną z nadmiaru patriotyzmu, który ma się wyrażać w wykonywaniu przez nich — w chwilach niebezpieczeństwa — niedozwolonych ewolucji, w celu... zaoszczędzenia grosza skarbowego, przez ratowanie od szwanku aparatu.

Podobnego absurdu logicznego nie wypowiedział bodaj żaden laik w rzeczach lotnictwa. Możliwe że wyciągnął wniosek, że gdyby lotnik nie usiłował uchronić skarbu od straty i nie wykonywał niedozwolonych ewolucji w momencie niebezpieczeństwa, to wprawdzie aparat uległby rozbiciu, ale lotnik

nie straciłby życia. W tem jest stanowczo jakieś nieporozumienie, a przedewszystkiem niepoważne traktowanie sprawy.

Od szefa departamentu lotnictwa musimy wymagać, żeby nauczył pilotów sztuki latania, a nie patriotyzmu i żeby im dał dobre aparaty. A przecież w dziewięciu na dziesięć wypadkach można zgóry ustalić ich przyczynę: albo aparat był wadliwie skonstruowany, albo lotnik nie umiał się z nim obchodzić. Winę tedy ponosi kierownictwo techniczne, lub szkolnictwo lotnicze wojskowe, podległe departamentowi lotnictwa.

Jakiż tedy jest stan jednego i drugiego: techniki i wyszkolenia.

Przedewszystkiem dwa słowa wyjaśnienia: jakie aparaty posiada nasza armja. W czasie wojny zakupiliśmy pewną ilość francuskich płatowców typu Breguet i Spad, trochę angielskich i włoskich, w zależności od konjunktur transportowych. To co mogło być szybciej dostarczone, było, wobec potrzeb frontu, lepsze. Posiadaliśmy również pewną ilość aparatów niemieckich, które wszakże, z powodu braku części zapasowych, musiały być szybko wycofane.

Rzecz naturalna, ta różnorodność sprzętu lotniczego, nieunikniona w latach 19 i 20, po skończonej wojnie musiała ustąpić miejsca prawidłowej organizacji, opartej na jednym typie aparatu. W tym też celu państwo nabyło od włoskich fabryk licencje na prawo budowania na użytek armji polskiej aparatów: „Ansaldo A. 300“ i „Balilla“. Wobec trudności przystąpienia do fabrykacji tych aparatów na własny rachunek, państwo, a w jego imieniu M. S. Wojskowych, zawarło w tym celu kontrakt z lubelską fabryką, o ile się nie mylimy, kotłów parowych „Plage 1 Laškiewicz“, zarządzaną przez p. Arkuszewskiego. Pomijamy już dość obfitą historję tego kontraktu i przechodzimy do technicznej strony produkcji.

Podkreślmy przedewszystkiem głęboką różnicę pomiędzy francuskim czy włoskim fabrykantem płatowców, a naszym p. Arkuszewskim. Podczas gdy każdy fabrykant zagraniczny jest prawie zawsze wynalazcą czy konstruktorem modelu, który produkuje i przeciwstawia fabrykatom konkurenta, gdy więc każdy wypuszczony przezeń aparat jest niejako dzieckiem jego ambicji, nasz p. Arkuszewski jest fabrykantem kotłów, a aparaty lotnicze fabrykuje przygodnie na zamówienie rządowe, według dostarczonych mu wzorów. Nic nie ryzykuje, konkurencji się nie obawia i w razie wygaśnięcia czy zerwania kontraktu, powróci do swej specjalności.

W takich warunkach organizacja kontroli produkcji musi być niezmiernie pieczołowita i w najwyższym tego słowa znaczeniu—fachowa.

Stwierdźmy na wstępie, że jakaś kontrola jest. Może nawet niezła, może nawet sumienna. Ale czy fachowa? Wątpliwości pod tym względem są bardzo, ale to bardzo wielkie.

Niema się czego wstydzić, że nasz personel inżynierski lotniczy jest nieliczny. I nie tu spoczywa głównie zło. Zrobiliśmy i tak wiele pod tym względem — szereg inżynierów lotników wysyłaliśmy na studia w Wyższej Szkole Aeronautycznej we Francji, powinniśmy tedy mieć szereg doskonale wyszkolonych fachowców. Popatrzmy wszakże, co się z nimi dzieje, jak wykorzystano ich wiedzę. Pomijamy personalia i operujemy cyframi. W szeregach lotnictwa wojskowego posiadaliśmy 3-ch inżynierów, wychowawców wymienionej szkoły francuskiej z przed wojny. W 1920 r. skończyło ją 4 oficerów lotników i w 1922—2-ch. Razem więc 9-ciu wyszkolonych inżynierów. Jak ich użyto? Jeden (Stec) zginął w katastrofie lotniczej, trzech zdemobilizowano (!!), jednego przydzielono do misji w Paryżu, jednego do misji w Rzymie, jeden organizuje lotnictwo cywilne w ministerstwie komunikacji i dwóch tylko pozostało w lotnictwie wojskowym, przyczem jeden z nich sprawuje funkcje administracyjne. Co robi ostatni, nie jesteśmy poinformowani.

Jeśli w naszej statystyce zaszły jakieś niedokładności — departament lotnictwa niewątpliwie je sprostuje. Wszakże mimo możliwej nawet zmiany przydziału któregoś z inżynierów lotników, fakt pozostanie faktem, że uczyniono wszystko, aby ich usunąć od ich naturalnych funkcji—kontroli technicznej, przede wszystkim produkcji fabryki „Plage i Laśkiewicz“.

Czy w tych warunkach szef departamentu lotnictwa może z czystym sumieniem oświadczyć, że uczynił wszystko co leży w jego mocy, by aparat wypuszczany z fabryki do hangaru i z hangaru na lotnisko, był należycie zabezpieczony przed defektem w locie? I czy może zaprzeczyć, że w wojskowych warsztatach lotniczych w Warszawie musiano u nowych aparatów dostarczonych przez f. „Plage i Laśkiewicz“ zmieniać linewki, ponieważ wykonane były z tandetnego materiału?

A teraz kwestja wykszolenia.

Obecni uczniowie Wyższej Szkoły Lotniczej w Grudziądzu uczą się aparatu, na którym mają latać. To prawda. Ale czy ci lotnicy, którzy ukończyli tą szkołę przed wypuszczeniem pierwszych lubelskich aparatów, lub którzy jej wcale nie kończyli, przeszli specjalny kurs nauki nowego płatowca? Czy więc i pod tym względem szef departamentu jest w porządku? Mamy bardzo poważne co do tego wątpliwości.

W naszym przekonaniu są winni wstrząsających katastrof lotniczych, i w najżywotniejszym interesie lotnictwa polskiego należy ich znaleźć. Trudno jest żądać od młodzieży, a bardziej jeszcze od jej rodziców, by zasilali szeregi adeptów lotnictwa, pochłaniającego ofiarę za ofiarą. Trudno jest również zmusić lotników do rozwijania swych uzdolnień na aparatach, do których nie mają zaufania i na których nie czują się bezpieczni.

Niewątpimy, że sprawę tę weźmie sobie blisko do serca p. Minister Spraw Wojskowych i że zaopiekuje się nią Sejm. Powaga sprawy wyklucza wszelką pobłażliwość i nieoparty na rzeczowych podstawach optymizm.

W. Stępczyński.

Walka o Zachętę.

Mamy jeszcze do rozegrania jedną ciężką domową walkę, która się organicznie łączy z kapitalnym problemem odrodzenia psyche narodowej, a mianowicie walkę z ujarzmiającym naszą kulturę i sztukę barbarzyństwem. O tem się mało myśli, a najczęściej zapomina — jeszcze nie nadszedł czas, jeszcze za pełne mamy ręce innej, grubszej, pilnej roboty. I tylko wybuchający od czasu do czasu jakiś skandal, jakiś bunt, jakaś burza podkreślona gestem protestu artystów przeciwko chwytającym ich za gardło brudnym mackom wielkiego Kołtuna, przypomina niezdrowo cuchnące bajorko, jakim jest nasze t. zw. życie intelektualne tych, których zawierucha wojenna, napchawszy im złotem kieszenie, powołała do odgrywania roli mecenasów, ergo arendarzy—wiedzącej w tym zaduchu Sztuki.

To co się nazywa rynkiem artystycznym jest u nas dzisiaj, a zapewne będzie jeszcze czas jakiś, pompą wysysającą esencję światowej pornografii i tandety, własnej i obcej produkcji. Sto portretów nagiej Niewiarowskiej we wszystkich pozach łatwiej i nie tylko łatwiej, bo napewno znajdzie mecenasów z pakietami dolarów, ale stu młodych Matejków i Wit Stwoszków umrze na magistrackich posadkach. Tysiące Aretinów znikną z półek księgarskich w przeciągu dnia, a pięć tysięcy nakładu książki Żeromskiego, Struga czy Sieroszewskiego nie rozejdzie się nawet w przeciągu roku. To samo w teatrach. Nic co silne, śmiałe, dziarskie, zdrowe — nie dostanie się na deski sceniczne bez domieszki błyszczących nagością łydek i nie tylko łydek aktorek... „bo nie chodzą“...

I tak jest, niestety, tak jest.

Popyt reguluje podaż. To prawo ekonomiczne odnosi się i do rynku artystycznego. Cóż zrobić? Artysta rodzi się poważnie bez trzosa z dukatami i musi sprzedawać płody swego talentu, musi z nich żyć, często z rodziną. A jeśli nie kupują dzieł jego szczerego natchnienia, jeśli trzeba przymierać głodem, jeśli dzieciom nie ma za co kupić obuwia, książki, a żonie ba-welnianej chociażby sukieneczyny... to co? Rzucić swój fach, swoje rzemiosło i zacząć się uczyć buchalterji lub prosić o posadę konduktora tramwajowego? Raczej trzeba machnąć ręką na aspiracje i pisać, malować, rzeźbić lub budować tak, jak chce „rynek“, arendarze-mecenasii, jak chce „kapitał“. Bo cóż z tego że

są ludzie kulturalni ze smakiem i wycuciem piękna, kiedy wszyscy omal przychodzą do artyści po... pożyczki? Cóż z tego? Prawo życia jest silniejsze od sentymentów, a świat nie składa się z bohaterów—więc trzeba iść na kompromisy i tylko bardzo delikatnie, powoli, tępą włócznią nowatorstwa przebijając napęczniały brzuch cielca płaskich upodobań. I dlatego potoczek życia artystycznego tak jest u nas słabiutki i płytki, dlatego tak się mało w tej wielkiej dziedzinie intelektu narodowego dzieje, dlatego z wielką lupą trzeba na ścianach salonów sztuki, w rzeźbie i w literaturze szukać iskry natchnienia i błysku śmiałej koncepcji, dlatego młode talenty tak się szybko starzeją i skwapliwie wyrzekają własnych idei i najchętniej malowaliby żmurkowskie kobiety na kossakowskich koniach w popowskich pejzażach, lub pisali dramaty i poematy o tajemnicach sypialni p. Sadowskiej, gdyby... gdyby się trochę nie wstydzili.

Wracajmy wszelako na teren aktualnej i toczącej się wojny—do Zachęty.

Co to jest Zachęta?

Jest to prywatna fundacja miłośników, ale prawdziwych, sztuki, wzniesiona w czasach niewoli, kiedy nie posiadaliśmy, bo nam to było surowo zabronione, legalnych i oficjalnych organów i urzędów, przeznaczonych do czuwania, pogłębiania, rozwijania i ogniskowania wszelakiego dobytku narodowego. Chodziło o stworzenie dzwigni sztuk plastycznych i zaczątków nieoficjalnej galerji narodowej. Dla tego samego celu t. j. rozwoju sztuk plastycznych (poza architekturą), powstała inna, również prywatna fundacja—Szkoła Sztuk Pięknych. Pokrewieństwo obydwu tych instytucji rzuca się w oczy. Równocześnie wszakże rzuca się w oczy i inny fakt, a mianowicie ten, że podczas gdy szybko po wyproszeniu z polskiej ziemi okupantów artyści i sztuk miłośnicy zorientowali się w konieczności upaństwowienia Szkoły Sztuk Pięknych—o oddaniu pod opiekę państwa gmachu i bezcennych, historycznej wartości zbiorów Zachęty, nikt z pośród artystów ani miłośników nie pomyślał. Prawda, w pierwszym wypadku zdecydowała inicjatywa i dobra wola jednostki—p. Kierbedziowej, która nie zawahała się z aktem darowizny na rzecz państwa, ufundowanego gmachu, a w drugim mamy do czynienia z wielogłowym stowarzyszeniem, jak praktyka wskazuje, niezbyt czołobitności godnem; że może nawet obok narodowego pałacu sztuki zarządzanego przez państwo może doskonale istnieć towarzystwo miłośników sztuki pięknej. Ale zgódźmy się, że obecna Zachęta jest, z winy ohydnej polityki artystycznej, odstraszeniem kulturalnej części społeczeństwa od rodzimej twórczości i że ponadto posiada ona w swych zbiorach płótna jak Matejki, Gersona, Brandta, Simlera, Gierymskiego, Norblina, Wyczółkowskiego, Krzyżanowskiego i innych mistrzów pędzla, moralnie należące do Muzeum Narodowego i które niewątpliwie tam by się znalazły, gdyby nie fatalizm dziejowy.

Spółeczeństwo nie może mieć żadnego zaufania do dzisiejszych miłośników Zachęty, że dzieła te będą otoczone należywym pietyzmem i zabezpieczone od towarzystwa bohomaszów Lautens'a, Jasińskiego, Austena, Popowskiego i politycznych kieczoów Szygiella. Zachęta jest ponadto w tej chwili jednym naszym reprezentacyjnym salonem sztuki, i o dziwo, oprowadzając po nim cudzoziemskich gości, nie możemy im nawet pokazać wielu bezcennych egzemplarzy zbiorów ukrytych w składach Muzeum Narodowego, a dla których w prywatnej Zachęcie nie ma miejsca.

Inicjatywy w tym kierunku, jak się rzekło niema, a spór pomiędzy artystami, a tak zwanymi miłośnikami ma charakter czysto wewnętrzny. Statut towarzystwa ustanawia zarząd złożony z 12 członków: 6 artystów i tyluż miłośników, wybieranych przez walne zgromadzenie. Artyści protestują i formalnie nie mają racji. Statut jest statutem i wybory, na jego podstawie dokonane kwalifikowaną większością głosów, są ważne. Natomiast artyści mają rację żądając zmiany tego przepisu statutu w tym sensie, by członków zarządu—artystów wybierali artyści w swoim gronie i miłośników, miłośnicy, nawzajem—bez udziału artystów. Kto może być miłośnikiem? Normalnie każdy obywatel, który opłacił składkę i został przyjęty przez zarząd. Obecnie warunki te zostały znacznie, nie formalnie lecz faktycznie, skorygowane — trzeba należyć do „Rozwoju“, lub poprostu być patentowanym endekiem. Zachęta bowiem jako towarzystwo jest w tej chwili gniazdem endeckiego kołtuństwa. W jaki sposób artysta może zostać członkiem Zachęty? Musi w przeciągu trzech lat brać udział w dorocznym salonie. Ilu może być miłośników? Teoretycznie olbrzymia większość obywateli Rzeczypospolitej, praktycznie wszyscy, którzy głosowali na „ósemkę“ t. j. parę milionów wyborców obojga płci. Ilu zaś możnaby zgromadzić artystów? Nie więcej niż paruset z całej Polski. Supremacja tedy miłośników nad artystami musi być teoretycznie i jest w rzeczywistości przygniatająca. Oczywiście jest wyraźnym zaprzeczeniem logice, aby jegomość, który za parę milionów rocznej składki nabył prawo głosu na walnym zebraniu, a o sztuce niema pojęcia, wyjąwszy sztukę mięsa, miał nagle decydować, którzy z artystów winni zasiąść w zarządzie, wchodzić do jury, a więc oceniać prace swoich kolegów, wpływać na kierunek rozwoju sztuki i co najważniejsza, kształcić smak publiczności zwiedzającej Zachęte. Niema żadnej racji do podobnie hazardownych eksperymentów, tem więcej, że mają one za sobą wiele smutne doświadczenia.

Bo jakto było dotychczas? Miernoty malarskie, które nie mogą liczyć na uznanie wśród kolegów, zawierają pakt, podpisany w kancelarji „narodowych“ partji, z t. zw. miłośnikami i wbrew głosom artystów wciskają się do zarządu. Wytwarza się paradoksalna sytuacja: wybrani przedstawiciele artystów nie cieszą się bynajmniej ich zaufaniem. I oto dzięki temu, bardzo

formalnemu, ale z logiką się mijającemu systemowi, w zarządzie zasiadają tacy zapoznani genjusze, jak Austen, Popowski (sprawozdawca *Gazety Warszawskiej*), Otto i Okoń. Mało tego. Stanowisko zarządcy było dla wielu z tych panów prawdziwym Eldorado, obfitem w żyły złota. W ich rękę spoczywał kierunek t. zw. polityki sprzedaży obrazów. Nie trzeba zapominać, iż nie zawsze, a nawet wprost b. rzadko nabywcy płócien są znawcami i estetami o wykształconym smaku i upodobaniach. Bardzo ale to bardzo często dyskretna, a serdeczna rada dygnitarza z zarządu decyduje o guście kupującego i to można z całą pewnością stwierdzić, że nigdy pp. Austen, Popowski, Otto i ich przyjaciele nie sprzedaliby części nawet, zdobiących ściany naiwnych miłośników, ram obejmujących ozdobię ich „jak żywe“ oleje i akwarele, gdyby nie potęga wyływów dygnitarstwa.

Stąd stosunki panujące w Zachęcie są w najwyższym stopniu niezdrowe i obecna stanowczość artystów, jeśli w niej potrafią wytrwać, jest, ze stanowiska ich własnych i publicznych interesów, objawem korzystnym.

Zobaczymy czy wytrwają.

W. Stpiczyński.

Wszędzie jednacy.

(Witte — Pamiętniki, tom I str. 465).

„Mówiąc o rosyjskiej szlachcie, uważam za swój obowiązek raz jeszcze podkreślić, że sam jestem dziedzicznym szlachcicem, a wśród moich przodków są osobistości znane historii, jako filary szlachty, wśród której jest wiele uczciwych i wolnych od egoizmu jednostek, ożywionych duchem, jakim istotna szlachta ożywiona być winna, a mianowicie: troską o słabych i o naród.

„Wszystkie wielkie reformy cesarza Aleksandra II przeprowadziła grupa szlachty, wbrew większości ogółu szlacheckiego swego czasu. Również i dzisiaj mamy znaczną liczbę przedstawicieli stanu szlacheckiego nie odróżniających szczęścia osobistego od szczęścia narodu i którzy w swej działalności wykorzystują wszystkie środki dla osiągnięcia powszechnego szczęścia, wbrew swoim osobistym interesom, a częstokroć nawet z narażeniem życia. Niestety, ta szlachta stanowi mniejszość. Większość zaś, z państwowego punktu widzenia, to kupa degeneratów, nie uznających nic poza swoimi osobistymi interesami i zachciankami, i dlatego wysilających całą swą energję dla zdobycia takich lub innych prezentów za pieniądze narodowe, ściągane ze zbiedzonego rosyjskiego narodu dla celów i dobra państwa, a nie egoistycznych interesów tej zdegenerowanej szlachty“.

Tak o szlachcie rosyjskiej pisze nie radykał, lewicowiec,

socialista, a „dziedziczny szlachcic“ rosyjski, konserwatysta skrajny, tronu Romanowych podpora znakomita, niezachwiana — hr. Witte.

A jakże to u nas, dzisiaj—w dwadzieścia niemal lat po skreśleniu przez Wittego uwag powyższych — wygląda brać szlachecko-obszarnicza?

Może nie wysilała całej swej energii „dla zdobycia takich lub innych prezentów za pieniądze ściągane ze zbiedzonego narodu“ pod postacią wszelkiego rodzaju pożyczek zwracanych w setnych procentach otrzymanych wartości? Może nie grała na dewaluacji marki, przelewając we własne kieszenie inflacyjny podatek opłacany automatycznie przez „zbiedzony naród“? Możliwe na tej katastrofie i zubożeniu powszechnem nie dorobiła fortun i nie pozbyła długów hipotecznych?

A akcji Banku Polskiego zakupiła... 8 proc. Dosłownie, osiem procent.

Inteligencja i urzędnicy, oficerowie, nauczyciele, artyści itp. wyrobownicy i nędzarze... 25 proc.

To trzeba zapamiętać. „Większość szlachty“ — obszarników „z państwowego punktu widzenia — to kupa degeneratów“, i dodajmy... pasożytów.

w. s.

P. Józef Haller znów na widowni.

Po dziwnej kampanji wyborczej, w której nazwisko gen. Józefa Hallera było tarczą dla najwyuzdańszych i cynicznych oszczerstw, kalumnji i z błotem mięszania przeciwników „ósemki“; po tragicznych ekscesach grudniowych prowokowanych i bezwstydnie w ulicznych przemówieniach inspirowanych przez pośła Józefa Hallera; po nieprawdopodobnej agitacji tegoż męża wśród Polonji amerykańskiej na rzecz wynaradawiania się polaków—zdawało się, że p. Józef Haller będzie zmuszony ustąpić nie tylko z widowni sejmowej, ale i wojskowej, by w zacisznym odosobnieniu rozpamiętywać tę wielką prawdę, że oprócz kaprysu losu i tupetu—aby być wielkim, trzeba jeszcze wielkiego ducha, charakteru i rozumu.

Ale ten kapryśny i dziwnie szczęśliwy dla Józefa Hallera los, najwidoczniej upatrzył go sobie na symbol ducha dzisiejszej doby polskiej. Karjera Hallera to jakby żywa apoteoza tęsknot wykołowanego i ogłupionego kołtuństwa do mierności. To nie człowiek—to synteza tragedji polskiego mroku, ufortyfikowanego, opancerzonego przeciwko promieniom słońca wolności i polotom duszy. To wyraz kołtuńskiej tępoty szukającej rozwiązania zagadki zjawisk wyrastających ponad szarą przeciętność i sklepikarskie regjony pojęć, w tajnikach boskiego przeznaczenia, w nieograniczonej i mistycznej skarbnicy cudów.

Jakżeż to jest głęboko symboliczne, że w Polsce ciągle brakuje miejsca dla indywidualności o silniejszym rozmachu twórczym, że talenty o wyraźnie i mocno skonstruowany charakter oparte, nie znajdują dla siebie miejsca na pokładzie kapitanów okrętu Rzeczypospolitej, a p. Józef Haller zawsze i mimo wszystko potrafi nań wcisnąć swego frapującego manekina.

Człowiek, który chciał być do śmierci wiernym brygadjerem austrijackim, siłą, dosłownie siłą wypchnięty został na stanowisko organizatora polskiego wojska na obczyźnie. Pozbawiony cienia talentów wojskowych, generał, który nie rozegrał ani jednej bitwy—uchodzi i co gorsza, uważa się za jednego z najwybitniejszych wodzów. Barbarzyńca czy dziecko w dziedzinie zjawisk politycznych, dopóki milczy, pozuje na wielkiego i nawet nieco zapoznanego męża stanu. Przewodził przecież w kampanji wyborczej zblokowanej liście trzech stronnictw prawy. Człowiek, który nie zapomniał w ekstazie patryjotycznej o osobistych interesach materialnych, uchodzi za duszę czystą, pokornego sługę Bożego, omal escetę i wzór bezinteresowności.

Po bitwie kaniowskiej każdy dowódca poszedłby pod sąd—on został bohaterem i dobrodziejem nieledwie, przez swą nieudolność na męki skazanych, rozproszonych na obszarach czerwonej Rosji, oddziałów polskiego wojska. Po bezwstydnem zaangażowaniu się w najwstrętniejszą demagogję partyjną w czasie wyborów, każdy oficer musiałby zdjąć mundur wojskowy; po ulicznych mowach prowokujących do walki z elektem Zgromadzenia Narodowego, każdy oficer musiałby stanąć przed sądem i ponieść bezlitosną karę; po nawoływaniach do wynaradawiania się, rzucanych Polonji amerykańskiej, każdy Polak musiałby stanąć przed sądem obywatelskim — a on, Józef Haller, bez przeszkód powrócił na wysokie stanowisko w armji.

I znów, jak kiedyś z powodu ministrowania gen. Szeptyckiego, zapytujemy zwierzchników wojska: panowie, zechciejcie nas uświadomić, jak oficer, patrząc na te dziwne przywileje gen. Józefa Hallera ma rozumieć honor munduru? I jak ma rozumieć specjalne dla jego osoby względy i wyróżnienia, akcentowane po paru zaledwie miesiącach rekolekcji, koniecznych dla uspokojenia opinji..

Z prasy codziennej dowiadujemy się, że dnia 24 maja, w imieniu i zastępstwie p. ministra spraw wojskowych, gen. Józef Haller podejmował na Zamku królewskim obiadem attaches wojskowych armji zagranicznych, że wygłaszał tam jakąś mowę, słowem, reprezentował armję. Dowiadujemy się również, że na tym obiedzie byli obecni: szef Administracji — gen. Osiński, szef Korpusu Kontrolerów — gen. Górecki, zastępca nieobecnego szefa Sztabu Generalnego — gen. Rybak i inni generałowie. Gen. Józef Haller zaś jest inspektorem artylerji. W obiedzie brał udział również inspektor kawalerji gen. Rozwadowski. Dla-czegóż tedy najgodniejszym wyobrazicielem armji, mimo iż

służbowo nigdy zastępcą ministra, jako inspektor artylerji nie jest, został nagle Haller, z wyraźnym pominięciem zastępców oficjalnych.

Kaprys losu chciał, że w dwa dni później t. j. 26 maja przybyła do Polski japońska misja wojskowa i udała się z wizytą do p. ministra Spraw Wojskowych. Ale p. minister z powodu tragedji rodzinnej tego dnia nie urzędował. A więc misja udała się do gen. Józefa Hallera? Ależ nie. Komunikat doniósł: „misja złożyła w godzinach rannych wizytę zastępcy szefa sztabu generalnego, gen. Rybakowi, reprezentującemu nieobecnego w stolicy ministra spraw wojskowych“. Rzecz się tedy wyjaśnia. Nieobecnego ministra reprezentuje zastępca szefa Sztabu Generalnego. Dlaczegoż więc nie reprezentował go wobec attaches wszystkich armji zagranicznych?

Działają tu więc jakieś szczególne dla p. Józefa Hallera względy i prawdopodobnie jego osobiste aspiracje do powrotu na szerszą arenę życia politycznego. Moment był wcale zręczny obrany, boć przecież nazajutrz po obiedzie, wszyscy attaches wysła do swoich sztabów generalnych raporty: p. Haller mówił... p. Haller wznosił toast, p. Haller... i t. d. i t. d.

Przestrzegamy przed dalszemi próbami w tym kierunku.

w. s.

Ciągle hotentockie praktyki w M. S. Z.

Okrągły rok już, bo od dnia intromisji skandalicznego rządu rokosań lanckorońskich, zmuszeni jesteśmy walczyć z niezdrowymi, niekulturalnymi, bezprawnymi, wprost hotentockimi praktykami stosowanymi względem urzędników w M. Spraw Zagranicznych, a które wynikają z obrzydliwej zasady endeckiego wynalazku, że urzędnik państwowy jest parjasem i objektem demagogicznej gry różnych krótkotrwałych dygnitarzy dmoskwiczańskiego pochodzenia. Żadne obyczajowe prawa przyzwoitości, żadne ustawy, ani pragmatyki służbowe, żadne kwalifikacje umysłowe i fachowe nie bronią w tym urzędzie obywatela, który poświęcił państwu kapitał swej pracy, nie bronią powiadamy przed samowolą różnych, często zakonspirowanych wykonawców operacyjnego, a w rzeczy samej w stosunku do M. S. Z. likwidacyjnego, planu Narodowej Demokracji.

Do nie dawna sytuacja była jasna. Sprawy personalne, co w tłumaczeniu na polski język oznacza: życie i śmierć urzędników, spoczywały w rękach sławnego z niesławnej przeszłości p. Zielińskiego. Wiemy kim jest ten pan. Był rosyjskim eserem, został polskim endekiem. Z takimi pięknymi koligacjami szybko zrobił partyjną karierę—dostał się do mafji, zajął w niej trzecie miejsce po Dmowskim. Był partyjnym przełożonym Seydy

i stąd jego dyktatura w w ministerstwie przez tego „dyplomatę“ i „esera“ we Francji, administrowanem. Nie trzeba już nikogo uświadamiać, że p. Zieliński poszedł do ministerstwa nie dla celów idealnych, ani z miłości dla idei krzewienia ducha bezstronności w służbie dla państwa, a poprostu za określonym celem obsadzenia służby dyplomatycznej i centralnej kuźni — a dzisiaj, niestety, tylko kuchni polityki zagranicznej—osobistościami oddanymi swojej partji. Stąd od maja ub. roku aż do grudnia, t. j. od objęcia do wysadzenia z foteli ministerjalnych „zaseydanych“ witosiarzy trwa nieprzerwana komedja oszczędnościowa, polegająca na masowem usuwaniu fachwych urzędników niezorganizowanych w „Rozwoju“ zwyrodnienia moralnego, P. P. P. i innych „narodowo-faszystowskich“ sodalicjach bombiarskich i przyjmowania na ich miejsce różnych znatanzohnowanych matolek w dobrze skrojonych frakach i z wodą w głowie.

Ale to wszystko rozumieliśmy—dopóki egzystował numerus *clavus* Zieliński. Nareszcie, po długich i ciężkich namysłach, cierpieniach, wahaniach, rozważaniach, głową kiwaniach p. Zamoycki zdecydował się przenieść go w stan b. pamięci, na razie na dwa miesiące, bo może... coś... jakoś... na prawo (wychodząc z opery na placu Teatralnym)... ale z tej mąki chleba już nie będzie i z p. Z. koniec. Krzyż na drogę, kapelusz na głowę i dowidzenia.

Zdawało się, że z odejściem tego pana z gmachu ministerstwa upstępuje miejsca poważnemu spraw traktowaniu, paralityczny nepotyzm i bezwstydnny protekcjonalizm, osławiony już nie tylko w kraju ale i zagranicą. Niestety, nic podobnego.

Zmieniono metodę, system pozostał ten sam.

A polega ta nowa metoda na takim genialnym w swej pomysłowości wynalazku. Do urzędnika X zjawia się pewnego dnia słodko uśmiechnięty jegomość i niby to z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność, z dobrego serca i nadmiaru życzliwości, w najszlachetniejszych zamiarach i najkliwszych słowach, abolewując i współczując zawiadamia poufnie... b. poufnie, omal zaprzysięgając delikwenją, że widzi pan, panie X, bo to właśnie... sanacja, oszczędność, wie pan, ten Moskalewski i t. d. i t. d.... jednym słowem będzie pan „zredukowany“, co w języku nieurzędowym oznacza — dostaniesz pan dymisję i pójdziesz do domu umierać z rodziną z głodu.

...Chyba... chyba żeby pan zgodził się na degradację, to jest cofnięcie się w na drabinie służbowej, a potem oczywiście i przejście na niższe stanowisko — to możeby dało się... tego... no wie pan, uratowałyby się jakoś... i t. d. i t. d.

Tak mówią i doradzają różnym urzędnikom jacyś, oczywiście „przyjaciele“, nieoficjalni pośrednicy i p. minister mógłby słusznie powiedzieć, że nic mu o tem nie wiadomo, że dzieje się to bez jego wiedzy, naturalnie... Tylko tak się dziwnie jakoś składa, że niezwłocznie po wizycie takiego pośrednika urzędnik

otrzymuje oficjalny dekret degradacyjny i że dzisiaj już są żywe ofiary tej nowej metody „dobrowolnego“ wyrzekania się z trudem zdobytego stopnia służbowego, poborów, i wszystkich zła płynących konsekwencji. I, o dziwo, degradacje nie dotyczą zupełnie urzędników pracujących w ministerstwie od kilku lub kilkunastu miesięcy, a stosowane są względem starych, kilkoletnich pracowników.

Musimy domagać się od p. Zamoyskiego niezwłocznego wyjaśnienia, co ten system ma oznaczać i na jakich prawnych i etycznych oparty jest podstawach? Jeżeli względy oszczędnościowe wymagają dalszych redukcji personelu urzędniczego, to należy redukować poczynając od końca, t. j. od pracowników najświeższej daty. Metoda zaś oszczędzania w drodze degradowania na upatrzony jest nieusprawiedliwionem krzywdzeniem jednostek w sposób pozbawiony podstaw prawnych i etycznych, oraz zabijaniem w urzędnikach szlachetnej podniety, jaką jest ambicja. Degradacja jest i musi być uważana za rodzaj surowej kary, stosowanej za wyraźne uchybienia obowiązkom służbowym i tu nawet zastanianie się zgodą zainteresowanego niczego nie usprawiedliwia. Ładnie wyglądałby nasz aparat administracyjny, gdyby wszyscy urzędnicy sami decydowali o swoich degradacjach, a tem samem i awansach. Od tego są przełożeni, od tego każdy minister ma referenta personalnego, od tego wreszcie są przepisy ustawy.

Trzeba dla dobra państwa skończyć przecież z improwizacjami i „genjalnemi“ pomysłami w stosunku do urzędników, a powrócić na grunt nieefektywnej, ale przez cały kulturalny świat respektowanej zasady wymagań z jednej i pełnego poszanowania godności obywatelskiej urzędnika z drugiej strony.

W. S.

Wśród listów.

„Jestem robociarzem wychowanym w nędzy i niedostatku. Przeszedłem straszną tragedję niewoli rosyjskiej w roku 1904 i 5-ym. Śpiewałem z współtowarzyszami niedoli „Przed twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyźnie, Wolność racz nam wrócić Panie“. I kiedy wybuchła wojna czułem, iż Polska powinna w niej uzyskać wolność. Czekałem kto się o nią upomni. Ci, co powinni pierwsi dać przykład narodowego czynu, — staniali się u stóp naszych ciemieżców, wysługiwali się u dworów europejskich, prosili i błagali o byle ochłap, byle tylko zachować swoje posiadłości i tytuły: szambelanów, baronów, koniuszych i innych radców stanu.

„Lecz znalazł się człowiek, który odrzucił ponęty obietnic Mikołajewiczów i Beselerów i skupił, zorganizował przy sobie najlepszą część młodzieży i rzucił zew: do broni Polacy, do broni. I poszli ci najlepsi w narodzie, własną krwią uratowali honor Polski, zadokumentowali przed całym światem, że Polska nigdy nie pogodzi się z niewolą, że chce wolności i niepodległości.

„To ci szarzy żołnierze, te dzieci robociarzy i inteligencji i matorolnych gospodarzy, ta młodzież szkolna i rzemieślnicza poszli za głosem swego Wodza i z ich to krwi i znoju powstała Polska. Dzięki tej krwi ofiarnej ma-

my dzisiaj wolność i niepodległość, mamy armję silną i bohaterską, mamy rząd, Sejm, narodowy skarb i oświatę. Komużto wszystko mamy zawdzięczać? Temu jednemu Wodwizi, który jest duszą i sercem narodu i symbolem całej demokratycznej Polski...

„I dlatego trzy czwarte narodu wymawiając imię Józefa Piłsudskiego czują że jest on symbolem potęgi, wielkości i majestatu Polski i wymawiają je ze schyloną w hołdzie głową, bowiem niema w narodzie godniejszego odeń obywatela, ani z zasług, ani pracy dla kraju i narodu...

„A ci, którzy leją gorycz w Jego serce i kłody rzucają mu pod nogi, ci, podli i nikczemni tchórze niechaj pamiętają, że historia wystawi im świadectwo hańby, a przyszłe pokolenia rozniosą ich groby, aby pamięć i wspomnienie o nich nie zatrzymały dusz polskich.”

Tak pisze do nas nieuczony obywatel Jan Żurek, górnik z pod Olkusz—spracowaną dłonią, nie dla polemicznego popisu, a z potrzeby obywatelskiego sumienia.

Słowa te, mimo iż nieco późno dochodzą do wiadomości publicznej, nie straciły na aktualności ani ciężarze gatunkowym. Są one, jak pisze autor wyrazem uczuć „rzeszy roboczarzy” i odpowiedzią na nasz artykuł „Droga do Sulejówka”, są przedewszystkiem dowodem tężenia myśli politycznej w narodzie.

Byle tak dalej... jaknajszybciej... z całą energją... bez dziecinnych sentymentów pojednawczych, bez ociągania się i bez kompromisów.

Skupiać się i walczyć!

P. S. Wszystkich naszych korespondentów prosimy o zaopatrywanie nadsyłanych listów i informacji w wyraźny podpis i adres. Najcenniejsze wiadomości anonimowe nie mogą być użytkowane w druku.

*W najbliższych dniach wyjdzie z pod prasy **steno-**
graficzne sprawozdanie z II procesów re-
daktora Głosu Prawdy za obrazę rządu Chjeno-
Piasta rozegranych przed Sądem Okręgowym w Warszawie
*dnia 13 maja r. b.**

Cena egzemplarza 1 zł. pol. Wszystkim naszym abonentom sprawozdanie rozesłane będzie bezpłatnie.

Administracja naszego pisma przyjmuje zamówienia na większe ilości i pojedyncze egzemplarze.

TREŚĆ № 38-ego! Bez demagogji—Z. Główne niebezpieczeństwo dla pokoju. Zapowiedź zwrotu w stosunkach francusko-rosyjskich. Nowa Francja a Niemcy. Kto odpowiada za katastrofy lotnicze?—W. *Stpiczyński*. Walka o Zachętę—W. *Stpiczyński* Wszędzie jednacy—w. s. Pan Józef Haller znów na widowni—w. s. Ciągłe hotentockie praktyki w M. S. Z. — w. s. Wśród listów.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3 złote. Zagranicą kwartalnie 5 złotych.
Konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr. 3288.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Druk. Spółki Wydawniczej Powszechnej Szpitalna 1.